

Ks. Jan Sochoń: Dar kapłaństwa

Marzy mi się, żeby wszystkie barwy mego kapłaństwa promieniowały tą zbawczą rzeczywistością. Żeby, będąc osobą wrażliwą na zmiany dokonujące się w Kościele, pozostawał czuły na ewangeliczny rdzeń życia, uosabiany przez Chrystusa i Jego eklezjalnych, świętych następców – pisze ks. Jan Sochoń w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Zawód: kapłan?”.

*Nie wyście mnie wybrali,
ale ja was wybrałem
(J, 15,16)*

Nieraz zadaję samemu sobie pytanie: jak to się właściwie stało, że zostałem księdzem? Wychowałem się, co prawda, w aurze konfesyjnej, niemal od dziecka otoczony opieką i stylem bycia proponowanym przez kulturę przykościelną, ale przecież nie myślałem o kapłaństwie jako własnej drodze życia. Nawet się trochę bałem tego rodzaju stanu, będącego wszak konsekwencją tajemniczego wybrania, skrytego pod osobliwą formułą *p o w o ł a n i e*. O niewielu przecież ludzkich profesjach odważamy się mówić w takim właśnie horyzoncie. Tu jednakże chodziło o powołanie religijne, a więc głębokie, wyczuwalne wręcz namacalnie, odczucie, że sakramentalna służba we wspólnocie Kościoła jest moim przeznaczeniem, to znaczy wypływa z wolnej i

świadomej odpowiedzi na wezwanie z nieba. By to się mogło stać musiałem wzrastać w przestrzeni wiary, doznać jej powabu, usłyszeć o Chrystusie i Jego niesamolubnej miłości, dzięki której świat mógł zostać odkupiony.

Moja mama Franciszka stała się pierwszą, naturalną przewodniczką w sprawach wiary. Nie przedstawiała żadnych intelektualnych argumentów, tylko osobistym świadectwem, umiłowaniem Chrystusa, żarliwością modlitewną i liturgiczną pobożnością zachęcała, bym szedł w jej ślady. I starałem się tak czynić, zwłaszcza, że odziedziczyłem po niej zasadnicze cechy charakteru. Nie byłem i nie jestem tak łagodny, ani tak wrażliwy na potrzeby innych ludzi, jak ona, ale zachowałem w sobie pewną rzewliwość, pewien, tak nazwę, amabilny sposób zachowania oraz odnoszenia się do innych osób. Jak każdy młody chłopak przeszedłem trudny szlak dojrzewania, a właściwie dorastania do pełni człowieczeństwa, której żyjąc nigdy nie osiągniemy. Nastąpi to dopiero – jak zapowiedział Chrystus – w Królestwie niebieskim.

W świetle kultury przykościelnej

Miałem jednak wielkie szczęście, gdyż opieką duszpasterską objął mnie ksiądz Piotr Bożyk, wychowawca i duchowy powiernik Alka Popiełuszki, z którym i mnie później zwiążą przedziwne losy i więzy. Ksiądz Piotr uczynił z wasilkowskiej parafii miejsce, gdzie mogłem stykać się z ideami zakorzenionymi w Ewangelii, bronić się przed naporem socjalistycznej miernoty i ideologicznego zniewolenia. Byłem w stanie przezwyciężyć pokusy niesione przez ówczesną rzeczywistość i to wszystko, co zwie się „wiekiem durnym i chmurnym”. Zyskałem świadomość, że do wiary trzeba dorastać, że każdy człowiek ma prawo

do prawdziwej polskiej historii, do stanowienia o sobie i swoich wyborach, że wolność jest Bożym darem i nie może być przez nikogo kwestionowana. W tamtych latach duchowieństwo stanowiło istotny oręż chroniący, zwłaszcza młodzież, przed zakusami oficjalnych programów nauczania i przynętami podsuwanymi przez partyjnych ideologów, którzy zapewniali, że trzeba oddalić polską, patriotyczno-martyrologiczną perspektywę, i zwrócić się w stronę wizji obiecującej ateistyczny raj.

*W tamtych latach
duchowieństwo stanowiło
istotny oręż chroniący przed
zakusami oficjalnych
programów nauczania i
przynętami podsuwanymi
przez partyjnych ideologów*

Na szczęście te komunistyczne miraży nigdy nie zostały zrealizowane, także i dlatego, że mocno trwała kultura przykościelna, w której zawsze można było (choćby na

chwile) się schronić. Panowały w niej inne niż komunistyczne prawa, inni byli zbiorowi bohaterowie, inne kryteria dobra i zła. Także czas płynął w innym tempie i w odmiennym rytmie, organizowany według innych świąt, uroczystości, rocznic i kultów. Język religijny nie przekształcał się, w zależności od okoliczności, w nowomowę, skrywającą realny stan rzeczy, zniekształcającą zbiorową świadomość.

Dzisiaj, mimo dokonanych już zmian, sytuacja Kościoła i ludzi wierzących pozostaje daleka od normalności. Mam na myśli nie tylko rozrost tendencji sekularyzacyjnych czy postaw z obojętnością reagujących na wartości religijne, często podszytych liberalnym stylem

życia, ale również falę prześladowań, jaka obejmuje chrześcijan niemal na całym świecie. Tysiące wiernych oddaje swoje życie za Chrystusa (wypada mówić nawet o czystkach religijnych), a presja ideologii islamskiej przybiera coraz groźniejsze formy. Jej ostatecznym celem ma być utworzenie homogenicznej muzułmańskiej społeczności, wyzbytej jakichkolwiek znaków chrześcijańskiej tożsamości. Z naszej, chrześcijańskiej strony, odpowiedzią na tego rodzaju nieludzkie poczynania może być tylko i wyłącznie naśladowanie Chrystusowego sposobu bycia, wciąż ponawiana próba życia zgodnego z Jego wolą.

Nadal więc kultura przykościelna ma znaczenie i powinna się swobodnie rozwijać, oczywiście nie w tym sensie, że należałoby się zamykać w konfesyjnej wieży z kości słoniowej, propagując to tylko, co nie wykracza poza obszar religijnego dogmatu. Chodzi raczej o pewnego rodzaju stanowczość wobec różnych współczesnych tendencji oczerniających etos chrześcijański. O ujawnianie sytuacji, w których refleksja nad nędzą człowieka niezdolnego do nadania sobie samemu sensu występuje w radykalnej postaci jako przykazanie miłości. Nie jesteśmy przecież, ani intelektualnie, ani moralnie, bezradni. Dysponujemy rozumem, wolną wolą, sercem; władamy niezmiernym bogactwem nauki i ducha kościelnego, tym wszystkim, co przynieśli światu święci i męczennicy, co wypływa z naszego otwarcia na Bożą łaskę i Boże słowo.

Piekący ból powołania

Być może dlatego przeszedłem przez młodzińczy okres istnienia niezbyt poraniony. Dzięki księdzu Piotrowi wyrwałem się z sideł młodzińczych słabości, coraz bardziej gruntując w sobie przekonanie,

że powinienem opuścić rodzinne strony i wyjechać do Warszawy. Najpierw jednak ukończyłem uniwersytecką polonistykę, wciąż zachowując przyjacielską i trwałą bliskość z księdzem Piotrem, trwającą zresztą do dzisiaj. Włączyłem się również w ówczesne życie literackie, podejmowałem (po dyplomie magisterskim) najróżniejsze prace, nie wyłączając prób dziennikarskich oraz naukowych. Lecz nie czułem się szczęśliwy. Moje ciało przenikał jakiś trudno opisywalny, piekący ból, że nie czynię tego, co powinno być moją egzystencjalną powinnością. Trochę męczyłem się sam ze sobą. Pod koniec lat 70. ubiegłego wieku mój duch niejako przyparł mnie do muru i wówczas – w jasności umysłu – pomyślałem, że moja dotychczasowa droga życia wiedzie mnie wprost do kapłaństwa. To było, pamiętam dokładnie, jak uderzenie w świadomość błyskawicy. Nie mogłem oddychać z przejęcia. Rozmyślałem: jakże to, ja przeciętny chłopak z podlaskiej ziemi mam przyjąć dar, który będzie darem ostatecznym. Mam pierwszoplanowo dawać siebie innym, żyć w przestrzeni wyznaczonej przez dwa fundamentalne słowa: przyjmowanie i dawanie. Tylko to się bowiem tak naprawdę liczy. Czy jestem zdolny do tak poważnej ofiary?

*Skoro jednak Bóg dał znak,
musiałem szybko zareagować,
gdyż do istoty daru przynależy
wzajemność*

Skoro jednak Bóg dał
znak, musiałem
szybko zareagować,
gdyż do istoty daru
przynależy
wzajemność.

Pojechałem zatem

do Wasilkowa, gdzie nadal duszpasterzował ksiądz Piotr Bożyk i poprosiłem go, by przygotował opinię potrzebną do tego, bym mógł się ubiegać o przyjęcie do seminarium duchownego. „Nie muszę jej pisać, mam już gotową, od dawna przeczuwałem, Janku, że w końcu odważysz się na ten krok” – usłyszałem z jego ust niespotykane i radosne

zarazem słowa. W ten sposób umocniło się we mnie przekonanie, że życzliwość Boga objęła i mnie, że bez obaw powinienem zdać się na kapłański plan życia. W następnych latach – już jako ksiądz – doświadczałem i nadal doświadczam wielobarwności, różnorodności służby kapłańskiej. Jak przeżywam swoje kapłaństwo? Czy nie marnuję otrzymanych talentów? Czy może gorzknieję pod wpływem niepowodzeń duszpasterskich, także tych związanych z nieuchronną utratą ludzkich przyjaźni?

Kapłaństwo na miarę miłości

Przede wszystkim staram się dziękczynnie odnosić do Boga i do ludzi, gdyż wiem, że zostałem utkany z bezinteresownych darów. Istnieję, a więc już z tej racji mam obowiązek obdarzać innych miłością, życzliwością, przebaczeniem. Zaświadczać, że Bóg nigdy nie zniechęca się swoim stworzeniem; zawsze jest gotów, by ponownie wtulić każdego z nas w swoje boskie ramiona. Powyższy, jakże cudowny fakt, sprawia, że w ogóle nie tracę nadziei, mimo wciąż pojawiających się grzechów i nieporadności. Jestem bowiem przeświadczony o realnej spójni łączącej mnie i cały świat z Bogiem. Dlatego chcę żyć w świetle, cieszyć się pięknem, całym bogactwem rzeczywistości, doświadczać wszystkiego, co jest Bożym darem. Z wszelkich więc sił unikam ciemności, także ciemności grzechu, choć nie zawsze z dobrym skutkiem. Staram się ufać Bogu, wciąż umacniać swoją wiarę. A jeżeli wiara słabnie, bądź wpada w odrętwienie, tęsknię za nią, zauważając coś niespodzianego, mianowicie to, jak zachowuje się Jezus, kiedy traci z Nim duchową więź?

*Staram się ufać Bogu, wciąż
umacniać swoją wiarę. A jeżeli
wiara słabnie, bądź wpada w
odrętwienie, tęsknię za nią*

Otóż, On ocenia
mnie i moje
kapłaństwo na miarę
mojej miłości. A jaka
jest ta miara, wie
tylko On – Zbawiciel,
który pragnie, abym

był kimś, kimś dla Niego, kimś wobec Niego. Dlatego nie przymusza do niczego, tylko czeka na odpowiedź z mojej strony. Niewidomy żebrak, którego historię niebywale obrazowo opowiedział św. Marek, dał swoją odpowiedź Jezusowi, prosząc Go o uzdrowienie, by mógł w pełni żyć, radować się kolorami codzienności. Tymczasem będąc w ciemności, nie potrafił rozeznaczyć drogi, pójść za Nim. Lecz nigdy, co charakterystyczne, nie porzucił nadziei, że można pokonać napór słabości, wyjść na oświetloną przestrzeń.

Pamiętam, co onegdaj powiedziała Ewa Błaszczuk, która od lat zabiega o wybudzenie ze śpiączki swojej córki Oli, powiedziała mianowicie, że kiedy się walczy, często się wygrywa. Trzeba tylko zmierzyć się z samym sobą. Postawić się w świetle sumienia i Bożych przykazań. Do tych jej słów dodaję: należy najzwyczajniej podjąć wysiłek, po prostu krzyknąć: "Synu Dawida, ulituj się nade mną". Przymnóż łaski, rozjaśnij to, co we mnie szare, zamazane, pokryte kurzem obojętności. Żebym pozostawał kapłanem doprawdy wolnym, wolnością pochodząca od Chrystusa, która jednak nie likwiduje mojej walki z samym sobą, bo i Chrystus musiał stoczyć wewnętrzną walkę w trakcie „kuszenia”.

Muszę tylko rozeznać, że życie społeczne, także życie Kościoła, wymaga z mojej strony niezwykłej roztropności i równocześnie pokory. Żebym dostrzegął uzdrawiającą siłę w tym, co skierowane ku drugim, pomnażające dobro. Wszak wszystkie ludzkie boleści będą włączone w cierpienie samego Jezusa, w odkupieńczy sens Jego Męki. Oczywiście, nie jest łatwo zdobyć się na tego typu myślenie. Sam doświadczyłem ciężkiej operacji serca i rozumiem tych, którzy nie godzą się na swój bolesny los. Równocześnie jestem pewien, że potrafimy własne cierpienie zharmonizować z cierpieniem samego Jezusa. Wówczas nasz znój zostaje opromieniony światłem Bożego tchnienia, wchodzi w błogosławioną przestrzeń. Zyskujemy ważny argument: problem cierpienia nie wyklucza istnienia Boga, raczej Boga do nas przyzywa. Marzy mi się, żeby wszystkie barwy mego kapłaństwa promieniowały tą zbawczą rzeczywistością. Żebym, będąc osobą wrażliwą na zmiany dokonujące się w Kościele, pozostawał czuły na ewangeliczny rdzeń życia, uosabiany przez Chrystusa i Jego eklezjalnych, świętych następców.

Ks. Jan Sochoń